

O szyby deszcz dzwoni

[Oneshot] [Slice of Life] [Sad]

Autor: Hoffman

Ciemne chmury zgromadziły się nad średnich rozmiarów miasteczkiem, znanym jako Neighford. Było to miejsce położone wiele kilometrów na południe od Equestrii. Z powodu zamkniętego, znajdującego się od wielu lat w remoncie połączenia kolejowego, a także niebezpiecznych szlaków handlowych, kraina znajdująca się poza południową granicą państwa Celestii rzadko kiedy była odwiedzana przez kogoś innego niż kupców czy najemników. Jedynie oni potrafili obronić swe karawany przed agresywnymi nomadami. Nie straszne były im również burze piaskowe, które nierzadko nawiedzały południowe pustynie, pozbawiając życia niejednego nierozważnego podróżnika.

Akurat Neighford był miasteczkiem znajdującym się najbliżej Equestrii. Leżące w samym sercu pustkowia, jawiło się jako samowystarczalny organizm, luźno związany z leżącymi znacznie dalej na południu miejscowościami. Raptem kilka szlaków i tyle ich widzieli. Generalnie rzecz biorąc, kraina ta nie posiadała swego władcy. Ot, ziemia niczyja. Każde miasto rządziło się same lub też miało na swym czele herszta – kucyka, który wszystko organizował, odpowiadał za rozwój infrastruktury (wielkie słowo) i bez którego ogiery w kilka dni same by się powybijały, pozostawiając na pastwę losu zależne od nich klacze. W Neighfordzie kimś takim był pewien przedsiębiorczy i surowy kucyk ziemski, swego czasu nazywany „krzykaczem”, a obecnie „kutwą”.

Na imię miał Albert, zaś nazwisko nosił całkiem egzotyczne, nawet jak na te strony – Crusto. Już jako szesnastoletni kucyk wraz z kilkoma współnikami parał się rozmaitymi pracami, rozbudową miasteczka, a później także zabezpieczaniem jego okolic przed rozbójnikami i innymi dzikusami. Podręcznikowy wręcz przykład „*od pały do grubej ryby*”. Z drugiej jednak strony, przed Albertem przewinęło się wielu innych hersztów, którzy znani byli głównie z tego, że skończyli bardzo źle. Z tego powodu mało kto wierzył w faktyczną poprawę stanu Neighfordu. Dlaczego miałoby się udać właśnie jemu? Wszak był zupełnie taki sam, jak każdy inny prosty mieszkaniec południa, czyż nie?

Niezupełnie. Było w nim coś, co odróżniało go od podobnych mu kucyków. Przede wszystkim, był straszliwie drobiazgowy i nadzwyczaj pamiętliwy. Nie był tchórzem, a pracę traktował jak największą świętość. Jeżeli coś zaczynał, to kończył, nawet jeśli z logicznego punktu widzenia było to bez sensu. Poza tym, szczerze wątpił, że kiedykolwiek w przyszłości Kresy powrócą do Equestrii. Jednocześnie głęboko gardził tym, co znajdowało się dalej na

południu. Całe swe serce wkładał jedynie w to, w co sam wierzył. A wierzył w to, że Neighford nie potrzebował nikogo i niczego, by normalnie funkcjonować. Ufał, że jego społeczność potrafi sama stanąć na nogi i egzystować w najlepsze, ku pomyślnej przyszłości. Marzył, by przyszłe pokolenia zastały Neighford nie jako średnich rozmiarów miasto na południu, ale jako liczące się państewko.

Na przestrzeni lat, Albert zdobywał zaufanie i siłę, aż w końcu stał się najważniejszym kucykiem w mieście. Za jego sprawą powstała manufaktura, w bardziej sprzyjającej do tych celów okolicy założone zostały nowe pola i gospodarstwa, a lokalna gildia kupiecka znacznie zwiększyła swoje rozmiary, nawiązując współpracę z innymi miastami oraz najemnikami z Equestrii. Nie dało się jednak ukryć, że dla Alberta była to niewygodna konieczność. W każdym razie, to umożliwiło mu zgromadzić majątek (znowuż, wielkie słowo), który jak na ironię stał się źródłem jego największych zmartwień. Wszak nie brakowało kucyków, którym nie chciało się pracować, a po prostu położyć kopyto na pieniądzech herszta miasta, nieważne, jak bardzo trzeba by było w tym celu narazić własne życie.

Atmosfera uległa znacznemu napięciu, gdy Albert zdecydował się wreszcie założyć rodzinę. Choć owszem, urozmaiciło mu to życie, to jednak od tamtej pory miał o wiele więcej do stracenia. Ogier wówczas postawił sobie kolejny cel – przygotować swe dzieci do życia w tej wyjątkowo surowej i dość obrzydliwej części świata, aby nikt nigdy nie przywalił im obuchem w łeb tylko po to by, jak to mówią, „*podpierniczyć pięć pesos na misce owsianki*”. Skąpego i zaborczego Alberta trudno było nazwać ideałem ojca, jednakże ten wiedział, że pewnego dnia jego latorośle podziękują mu za wpojenie zaradności i dyscypliny. To znaczy, w takim tych słów znaczeniu, w jakim on to pojmował. Wszak ktoś musiał odziedziczyć rodzinny interes. Ktoś musiał realizować jego koncepcję i dbać o przyszłość Neighfordu. Bynajmniej nie mógł to być ktoś naiwny, miękki.

Tym bardziej, Albert nie miał zamiaru zaprzętać sobie myśli Walterem – młodszym bratem, obdarzonym przez naturę nie tyle żyłką do interesów i siłą argumentu, co najzwyczajszą w świecie dobrocią serca, połączoną z wrażliwością na cudzą krzywdę. Albert niespecjalnie przejmował się dobrem czy bezpieczeństwem innych. Poprzez „niespecjalnie”, należy tu rozumieć „nie więcej, niż było to konieczne”. Nigdy nie dał się oszukać, w przeciwieństwie do Waltera, którego ufność i uczynność niejednokrotnie wykorzystywały byle bandziory. Ze swych błędów nigdy nie wyciągał lekcji.

Albert nie ukrywał swej niechęci do ubogiego i nieudolnego brata. W pogardzie miał również skrzydlatą klacz, która to wydała na świat jego bratanka. Albert związał się z klaczą jednorożca, co w tych stronach było pod względem popularności i uznania społecznego na równi z wiązaniem się z klaczami ziemskimi. Klacze pegazów natomiast uchodziły za darmożjady i cichodajki, które jak szybko przylatywały, tak za moment odlatywały. Jakże

wielka była złość Alberta, gdy okazało się, że jego bratanek odziedziczył po matce skrzydła. Na całe szczęście, Henrietta nie podzielała jego zdania i zarówno żyjącą w ubóstwie, niezwiązaną węzłem małżeńskim parę, jak i jej jedyne potomka od początku traktowała jak najbliższą rodzinę.

Pamiętacie jeszcze wzmiankę o czarnych chmurach? Wiedziecie, że były one zwiastunem ostrej burzy, co było typowe dla tej pory roku. Nie minęło wiele czasu, zanim obłoki zaczęły płakać. Już po kilku kwadransach grzmoty i błyski światła poczęły wyrwać ze snu kolejne kucyki. Wylewane przez chmury łzy nieźno stukały o szyby, powiększając przy tym dziury w dachach ubogich mieszkańców, pomału zalewając ich skromne chatki. Pogoda ta przypomniała Henriecie o wieczorze, w którym to bardzo naraziła się Albertowi. Wszystko było identyczne. Rytm melodii wystukiwanej przez dzwoniące o szyby krople, przerwy między kolejnymi błyskawicami, nawet wszelakie bibeloty zdawały się być pokryte taką samą warstwą kurzu, co przed laty.

* * *

Był to chłodny i nieprzyjemny dzień. Mimo wyglądającego zza chmur słońca, jasno nie było. Dominowały odcienie szarości, czerń. Słowem, ponuro jak na pogrzebie. Porywiste wichry przeszywały kości pracujących kucyków (wyłączając kowali, którzy w opozycji do większości, mieli dosyć gorąca bijącego z ich kuźni), a deszcz i burza, które nastały wraz z porą nocną bynajmniej nie wpływały dodatnio na stan rzeczy. Na szczęście matka natura nie miała kaprysu i nie zrujnowała ani baraków, ani kilku większych, choć nadal lichych chat, w których gnieździły się najuboższe kucyki.

Przeciwstawiając się niesprzyjającym warunkom i mierząc z nieokiełznaną burzą, pewna niewysoka klacz powoli zmierzała w stronę znajdującej się na obrzeżach Neighfordu chatki. Odziana była w płaszcz z narzuconym na głowę kapturem, zaś na kopytach miała znakomitej jakości buty, których nie powstydziliby się nawet doświadczeni podróżnicy. Cały czas oświeślała sobie drogę, korzystając ze swej magii. Jednocześnie unosiła się za nią niewielkich rozmiarów, wypełniona po brzegi torba.

Wędrówka nie trwała zbyt długo. Ponieważ żyła w tym miasteczku od urodzenia, była przyzwyczajona do kaprysów pogody oraz kilku innych rzeczy, takich jak zalane przez pijaków boczne uliczki. To było zdumiewające. Jak ci prości, ubrani w łachmany prostacy, mimo zaledwie kilku kropel najtańszego trunku w żołądku, byli w stanie wytrzymać tak ostrą burzę? Ani chłód, ani deszcz, ani nawet przerażające grzmoty, nic się ich nie imać. Cóż, czasem bywało to zabawne, a czasem irytujące. Zwłaszcza gdy pięciu takich obszczymurków nagle zachodziło drogę, by poprosić o „marne” kilka pesos. W tych stronach nawet to „kilka” potrafiło być fortuną, zwłaszcza dla najbiedniejszych kucyków.

W końcu, niestrudzona Henrietta wkroczyła na właściwą uliczkę. Już stamtąd słyszała płacz nowonarodzonego żrebaka, a także kilka innych głosów. Po kilku minutach dotarła do niewielkiej, zapuszczonej chaty. Czym prędzej odnalazła wzrokiem drzwi frontowe, do których kilka razy zapukała. Wystarczająco głośno, by można ją było usłyszeć, ale niezbyt natarczywie, by nie przyprawić świeżo upieczonej mamy o jeszcze większą migrenę.

Drzwi otworzył jej niewyspany i nieoporzadzony ogier ziemski o ciemnej barwie futra, podpadającej pod kolor atramentowy. Miał podkrążone oczy, a także bujną brodę i baki łączące się z kręconą, długą grzywą, która również była ciemna. Ta ostatnia cecha nie wynikała jednak z genetyki, ale z faktu, że od dłuższego czasu te biedne, zmęczone włosy nie widziały czystej wody i mydła. Mimo panującego zimna, jegomość nie był odziany w żadne okrycie. Wszystko, co jeszcze kilkanaście minut temu miał na sobie, dał swemu świeżo narodzonemu synowi. Kocami i prześcieradłami okryta była jego partnerka. Wycieńczona, lecz szczęśliwa klacz czule przytulała swego synka, starając się go uspokoić. Mały bez przerwy płakał, zapewne z powodu chłodu.

– Dzięki, że przyszedłeś. Każda para kopyt się przyda – mruknął niemrawo Walter.

Zaproszona przez szwagra Henrietta weszła do środka, od razu gratulując leżącej na dość wysłużonym materacu klaczy. W podzięcie, Iris kiwnęła głową, po czym znów zwróciła się ku swemu maleństwu. To z kolei cały czas rozkopywało się spod rozmaitych okryć, popłakując i poruszając maleńkimi skrzydełkami. Mimo ogólnie przygnębiającej atmosfery i biedy panującej w tymże skromnym domostwie, rodzice byli szczęśliwi z przyjścia na świat ich pierwszego dziecka. Starali się nie myśleć o tym, że od kilku dni nie dojadali, a teraz brak środków do życia jeszcze bardziej da się we znaki. Henrietta bezbłędnie wyczytała to z ich twarzy.

– Przyniosłam wam kilka rzeczy, które mi zostały po Gelgii. Kocyki, kilka zabawek i pieluchy. To ostatnie, oczywiście nowe – powiedziała Henrietta, kładąc na podłodze torbę.

– Dzięki. Nawet nie wiesz, jak bardzo nam to teraz potrzebne – odpowiedział spokojnie Walter.

– Pogadam jeszcze z Albertem, może znajdzie coś dla ciebie. Za tę kasę z warsztatu to nie idzie nawet czerstwej bułki kupić – mruknęła klacz. – Nie wydaje mi się, aby ten materac był odpowiedni dla młodego.

– Mhm – Iris kiwnęła głową. – Ale na razie możemy zapomnieć o łóżeczku.

– Jakoś się pomieścimy. Tylko te przeciągi... – Walter zmierzył wzrokiem wszystkie prowizorycznie zatkane szczeliny oraz dziury w dachu.

– Pokaż no mi tego malca – poprosiła Henrietta, podchodząc do skrzydlatej klaczy i jej pociechy. – Chciałabym zobaczyć do kogo bardziej jest podobny.

Cytrynowa klacz słabym ruchem lewego kopyta odsłoniła zza okryć swojego syna. Ten powoli się uspokajał, aczkolwiek bardziej wynikało to z tego, że był zmęczony ciągłym płaczem. Henrietta powoli i spokojnie obniżyła szyję, by przyjrzeć się źrebakowi. Będącego na świecie od zaledwie kilku godzin malucha cechowała jasnoniebieska sierść, a także krótka, żółtawa grzywa. Z oczu i rysów bardziej przypominał Waltera, ale po kim otrzymał skrzydła, nie było wątpliwości. Kopał i delikatnie kręcił skrzydełkami, jakby chciał wydostać się spod grubej warstwy okryć. Poruszał przy tym główką, wyglądając w stronę mamy i taty.

– Sierść i grzywa zdążą mu jeszcze ściemnieć. Ładny, udał wam się. – Henrietta zachichotała, po czym ostrożnie wyciągnęła kopyto w stronę źrebaka. – Juś się uspokoiłem? Juś się uspokoiłem? No cio, cio? Jestem twoją ciocią, wiesz? – Klacz uśmiechnęła się serdecznie, obserwując, jak malec wędruje wzrokiem za jej kopytem.

– Jak to zrobiłaś? – zapytała lekko zaskoczona Iris.

– Nic nie zrobiłam. Zmęczony jest i tyle. Zobaczysz, jak go nakarmisz, to sam zaśnie – odpowiedziała. – I przytrzymuj mu główkę, o tak... To będzie mu wygodniej. I delikatnie, żeby nie naciskać na skrzydełka – Henrietta poinstruowała Iris.

– Dobrze. Postaram się.

– Mam nadzieję, że niedługo nas odwiedzicie?

– Nie, lepiej nie. – Walter pokręcił głową. – Ani Albert nie ma ochoty mnie oglądać, ani ja nie mam ochoty go oglądać. Damy sobie radę.

– Jestem pewna, że w końcu zmięknie. A jeśli nie, to wiecie, kiedy go nie ma w domu. Ja wreszcie będę miała z kim porozmawiać, a Gelgia będzie miała z kim się bawić.

– O ile mnie pamięć nie myli, ktoś tam pilnuje waszego domu?

– A, tam. – Henrietta machnęła kopytem. – Rzucę kilka monet i nagle zapomną, kogo Albert zabronił wpuszczać do środka. – Klacz skierowała się w stronę wyjścia. – Wpadnę do was jutro i powiem jak się sprawy mają.

– Nie chcemy jałmużny, damy sobie radę – upierał się Walter.

– Nie bądź już taki honorowy.

Wypowiadając te słowa, klacz skierowała uwagę Waltera na głęboko oddychającą, zasypiającą Iris, obok której leżał przykryty pod samą szyję źrebak. Powoli zapadając w sen, ssął mleko matki, zaspokajając swój głód. Widok chwytający za serce, jednakże towarzysząca mu otoczka przyprawiała o głęboki smutek. Próchniejące belki, z których wykonane były ściany, liczne dziury, czy to w lichym, słomianym dachu czy gdzieś w narożnikach, wszechobecny bród, puste szafki, a na szczycie tego wszystkiego łachmany, pod którymi spoczywał nowy członek rodziny wraz z matką.

Wszystko to sprawiało, że każdy, kto potrafił współczuć, natychmiast zechciałby zabrać stąd te biedne kucyki, sprawić im godne warunki do życia, dać jedzenie, ubrania. Z drugiej jednak strony, jeśli im, to i całej reszcie najbiedniejszej części Neighfordu, a to już nie

było możliwe. Albert doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wszak trzymał Waltera na dystans nie tylko ze względów osobistych, ale również dlatego, że wspomaganie krewnych, także tych rwących się do pracy, podburzyłoby jeszcze bardziej i tak już sfrustrowaną kucykową społeczność. Za nepotyzm, Albert mógł bardzo szybko zostać nawet zlinczowany, zaś jego majątek rozkradziony. Tolerancja mieszkańców Neighfordu w tych sprawach ograniczała się jedynie do żony i potomstwa, cała dalsza rodzina mogła sobie ponarzekać.

– W porządku. Rozumiem. To nie jest dla nich miejsce – przyznał w końcu Walter.

– Zrobię co w mojej mocy. Trzymaj się. Dbaj o Iris i o małego. Dajcie mu jakieś ładne imię – powiedziała Henrietta na pożegnanie. Nie zważając na wichurę, skierowała swe kroki w stronę domu.

Walter zarygłował drzwi, po czym podszedł do chwiejącego się na przeżartych przez termity nogach stolika. Na zardzewiałym, zakurczonym świeczniku spoczywała jedna, niemalże całkowicie wypalona świeczka. Była ona jedynym źródłem światła w chacie. Ogier zdmuchnął ją, po czym zajął kawałek materaca, tuż naprzeciwko swego synka i partnerki. Niczym się nie przykrył, po prostu położył się na boku, jedną kończyną obejmując Iris. Krótco po tym żrebak oderwał się od źródła pokarmu i poddał opiece matki. Nie minęło wiele czasu i usnął. Iris przytuliła go do siebie, jednocześnie zwracając się do Waltera.

– Może być Fenrir?

– Słucham?

– Mój dziadek nosił takie imię. Zawsze był dla mnie taki dobry, wszystko rozumiał...

– Iris ziewnęła. – Pomyślałam, że moglibyśmy mu dać imię po nim.

– Twój dziadek? Ten od wilków? – pytał Walter.

– Tak, ten od wilków – przytaknęła, czule pieszcząc synka noskiem. Odpowiadały jej ledwo zauważalne ruchy skrzydełek. – Chciałabym zobaczyć jego pierwsze kroki, albo pierwszy lot...

– Zobaczysz, jestem tego pewien. – Ogier ziewnął, po czym przysunął się bliżej dwóch najważniejszych dla niego kucyków. – Mały Fenrir będzie rósł w siłę, na twoich oczach. Wierzę w to. – Walter delikatnie pogłodził syna po grzywie. – Ależ długo kazałeś nam na siebie czekać... Kochamy cię, synku. Nie zawiedzimy cię. Zrobimy wszystko, byś nie musiał przechodzić przez to piekło.

– Ty zrobisz. Ty go nie zawiedziesz... Ja nie zdążę...

– Shh, przestań. Nie mów tak. Wszystko będzie dobrze – mruknął Walter, mocniej obejmując ukochaną. – Oboje będziemy patrzeć, jak nasz syn rośnie. Tylko się nie załamuj. Damy sobie radę.

Klacz nie odpowiedziała. Podciągnęła tylko nosem, po czym ucałowała swoje żrebie w czoło. Z trudem powstrzymywała łzy. Zachowywała się tak, jakby jutro wszystko się miało skończyć. Całus na dobranoc przypominał raczej przepełnione żalem pożegnanie.

Oboje wiedzieli co się może stać, lecz tylko on wierzył, że wszystkie zmartwienia z czasem miną i wszystko skończy się dobrze. Iris bardzo chciała podzielać jego zdanie, ale z pewnych przyczyn nie potrafiła tego uczynić. Po kilku minutach milczenia wypowiedziała jeszcze kilka słów, choć nie była pewna, czy Walter je usłyszy. Wszystko wskazywało na to, że ogier zasnął.

– Dziękuję ci...

Tymczasem, Henrietta zdążyła już dotrzeć do „tej lepszej” części Neighfordu, gdzie ani jedna uliczka nie była usłana rozlatującymi się chatkami czy zrujnowanymi pustostanami, ale solidnymi domostwami, warsztatami i sklepami. W oddali można było dostrzec budynek manufaktury, jeszcze dalej młyny, za którymi znajdowały się pola uprawne. Kucyki z Equestrii zapewne miałyby problem z dostrzeżeniem w porze nocnej tylu szczegółów, jednakże nie mieszkańcy południa. Oni byli znakomicie przystosowani do życia w tej części świata. Ich zmysły były naturalnie wyostrome, zatem wzrok nawet przy tak niesprzyjającej pogodzie był nadzwyczaj niezawodny. A jeszcze jak od czasu do czasu niebo rozświećlały błyskawice, to już w ogóle nie trzeba było walczyć z ciemnościami.

Po niedługiej wędrówce, klacz minęła zajazd, a także nieczynną stację kolejową. Skrzyła w lewo, docierając do swojego domu, w którym mieszkała wraz z mężem i córką, trzyletnią Gelgią. Choć zdążyła przyzwyczaić się do kłótni i awantur, najczęściej krążących wokół tego samego tematu, to jednak za każdym razem odczuwała lekki strach czy też zaniepokojenie. Również dzisiaj czuła się podobnie, zwłaszcza, że zdenerwowany Albert już na nią czekał.

– Mało masz roboty w domu?! Gdzie łazisz po nocach, niepotrzebnie się wychylasz?!
– krzyknął wysoki, lekko siwiejący ogier, ubrany w skórzane buty, ciemną koszulę i narzuconą nań bluzę.

– Nie stój w progu, bo to przynosi pecha – odparła klacz. – I nie drzyj się jak stare prześcieradło, bo dziecko obudzisz.

– Gelgia i tak nie śpi! Pyta się, kiedy wróci mama! I wiesz co?! – mówił Albert, odsuwając się na bok tak, aby Henrietta mogła wejść do środka. – Nie wiem co mam jej powiedzieć! Jak powiem, że kiedyś wrócisz, to zaczniesz ryczeć! Jak powiem, że nie wiem, to zaczniesz ryczeć! A jak powiem, że mogłaś dostać w łeb i być może nie żyjesz, to...

– Zamknij się, stary pierdzielu – przyganiła klacz, wieszając płaszcz na wieszaku, zaś buty odsyłając na stertę brudnych szmat, by nie upaść niedawno oporządzanej podłogi. – Gelgia to nie żadna beksa. A poza tym, od kogo miałabym „dostać w łeb”?

– Jeszcze się pytasz?! Już ja wiem, gdzie się szwendałaś! Pewnie znowu poszłaś do tego nieroba i tej jego... – ogier urwał w momencie, gdy jego żona pogroziła mu kopytem.

– Po pierwsze, mylisz się. Po drugie, nie ucz Gelgii języka z rynsztoku – Henrietta rozejrzała się po salonie. Jak zwykle, na stole brakowało kolacji. – Widzę, że z tych nerwów nic nie przygotowałeś.

– Akurat. Przygotowałem, jak mi pokazywałaś! Gelgia wszystko zżarła, a teraz w kiblu siedzi!

– Mama?

Słyszając córkę, Henrietta nastroszyła uszy. Szybko odnalazła wzrokiem schody prowadzące na piętro. Pod schodami znajdowało się wejście do toalety.

– Tak, malutka, co się dzieje? – zapytała, wymigując się od kolejnej, pełnej nerwów rozmowy z mężem.

– Kupa! Mama, pomóż! – krzyknęła Gelgia zza drzwi.

Henrietta natychmiast skierowała się w stronę toalety, skąd wołała ją córka. Nie podobało się to Albertowi.

– Nie skończyliśmy jeszcze rozmowy! Masz tam więcej nie łaźć, słyszysz mnie?! Tam tej hołoty jest pięć ton! – krzyczał bez opamiętania. – Zatlukli by cię, ograbili i na końcu pożarli jak prymitywy jakieś! Mało ci wrażeń w domu?!

– Sam jesteś prymityw, nie stresuj dziecka – odparła spokojnie Henrietta, znikając za drzwiami.

Albert chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnował. Poczuł, że potrzebuje alkoholu. Szybkim krokiem dotarł do barku, po czym wyciągnął z niego butelkę wina. Ponieważ adekwatne naczynia uległy stłuczeniu podczas ostatnich wygłupów ciekawskiej Gelgii, ogier został zmuszony do nalania sobie wina do szklanki. Wlewając zawartość naczynia do gardła, zastanawiał się, czy narodziny bratanka były zwiastunem kolejnych kłopotów i zmartwień.

* * *

Minęło dwanaście lat od tamtego wieczoru. Mimo upływu czasu, Henrietta nadal doskonale pamiętała maleńkiego Fenrira, jego płacz i te błyszczące, pełne ciekawości oczy, które żrebak wlepił w swą ciocię za każdym razem, gdy ta go odwiedzała. Dzisiaj, siedząc w ulubionym fotelu bujanym i czytając nową książkę, czekoladowa klacz o jasnej grzywie po raz kolejny powracała myślami do przeszłości. Tęskniła za pegazem. Bardzo go lubiła, tak samo jak jej dziatki. Mały Fenrir był dla nich jak rodzony brat. Uczucie tęsknoty potęgował fakt, że podobnie jak Walter i Iris, Henrietta również była obecna w pierwszych chwilach życia ogierka i bardzo szybko zdążyła się z nim związać.

Klacz nie zdawała sobie sprawy, że nie tylko ona wspominała czasy, kiedy to Fenrir mieszkał w Neighfordzie. Czasy, kiedy można go było spotkać codziennie. Dzień w dzień coś robił, poznawał świat i na swój sposób próbował podejmować różne zawody. Zadawał przy tym mnóstwo pytań, a czasami nawet śmiał się, choć powodów do śmiechu miał niewiele. Nigdy nie brakowało mu energii i chęci, nieważne, jak skarciłby go Albert. To właśnie te dni wspominali Gelgia i Gleipnir, chowając się pod kocem.

Rodzeństwo posiadało jeden mały pokój. Nie było w nim zbyt wiele zabawek, w przeciwieństwie do kurzu i walających się tu i ówdzie kartonowych pudełek. Meble nie były pierwszej młodości, aczkolwiek spełniały swoje zadanie. Szafki mieściły ubrania, okrycia oraz trochę wysłużone zabawki. Na półce stały książki, nie brakowało też niewielkiego biurka i rozmaitych przyborów do rysowania. Ani Gelgii, ani Gleipnirowi nie przeszkadzała ciasnota. Rodzeństwo znakomicie dogadywało się między sobą i dzieliło wszystkim, co miało.

Choć okna były przysłonięte, błyskawice co jakiś czas rozpraszały panujące w pokoju ciemności. Znajdując się w “szałasie”, to jest pod ciepłym kocem, przy świetle lampy naftowej, siostra i brat oglądali swoje rysunki, wspominając kuzyna. Każdy obrazek, na którym widniała cała trójka, był ucieczką do tych miłszych dni, kiedy to czuli, że wspólnie potrafią dokonać niemożliwego. Ot, dla zabawy, czy też z chęci przeżycia przygody.

– Pamiętasz, jak bawiliśmy się w fort? – zapytał dziesięcioletni ogierek o brunatnej grzywie, spod której wystawał średnich rozmiarów róg.

– Tak, zbudowaliśmy wtedy taką wielką wieżę z kartonów. Fenrir próbował wlecieć na sam szczyt i wszystko zburzył – powiedziała Gelgia, zdmuchując sprzed oczu swoją długą, złotą grzywę.

– A tutaj? – Gleipnir wskazał kopytem na rysunek, gdzie on, Gelgia i Fenrir budowali lepiankę. – Najpierw chcieliśmy szukać skarbu, ale potem wpadłaś na pomysł, żeby zbudować dom.

– Ano, pamiętam. Nieźle się wtedy umazaliśmy błotem, mama nie mogła nas domyć.

Gleipnir z całkiem dobrym rezultatem uciekał od obecnego stanu umysłu, w którym to bardzo brakowało mu kuzyna. Wracając do miłych wspomnień i w duchu przeżywając to wszystko jeszcze raz, jednorożec znalazł sposób na uśmierzanie wewnętrznego bólu związanego z... Ucieczką? Wyjazdem? Nie, chyba najlepszym określeniem było „wyruszenie w drogę”.

Złotogrzywa z kolei perfekcyjnie udawała przed bratem, że jakoś się trzymała. Tak naprawdę, myślami wracała nie do tych miłych, lecz do bardziej przygnębiających historii.

Sama nie wiedziała, dlaczego. Może dlatego, że wtedy czuła się dorosła, szczególnie odpowiedzialna za młodszego kuzyna? Może pomoc krewnym i wsparcie, jakiego starała się udzielać, sprawiały, że było jej lepiej? Możliwe. W każdym razie, wewnętrzny smutek nie opuszczał jej serca. Właśnie teraz, Gelgia myślała o takiej oto historii...

* * *

Ciepłe promienie porannego słońca wpadały przez okno do środka małej chatki, budząc ośmioletniego Fenrira. Po kilku chwilach żrebak niechętnie wstał i przetrął oczy, a następnie leniwie rozejrzał się po pomieszczeniu, w poszukiwaniu ojca. Chatka była bardzo mała, właściwie jednopokojowa, więc długo nie musiał szukać. Walter siedział przy starym, drewnianym stole i z niewielkiego kociołka nalewał sobie skromną porcję zupy. Widząc zmierzającego w jego stronę Fenrira, od razu wziął drugą miskę i nalał zupy także jemu. Pegaz zajął miejsce przy stole, czym prędzej przechodząc do pałaszowania śniadania. W bardzo krótkim czasie zjadł wszystko, po czym z wciąż burczącym brzuchem zaczął przesuwając kopytkiem po pustej misce. Widząc, że jego syn nadal był głodny, Walter bez zastanowienia podsunął mu swoją miskę, w której wciąż znajdowała się letnia zupa.

– Masz, dokończ – mruknął atramentowy ogier.

– Ale... Wtedy ty się nie najesz, tato! – zaprotestował Fenrir, ignorując burczący brzuch.

– Nie gadaj. Lepiej, jak się chociaż jeden z nas naje, niż byśmy mieli obaj zasuwać na głodniaka. Wcinaj. Napelnij brzuszek, a ja w tym czasie przygotuję sprzęt. Za pięć minut widzimy się przed chatą, dobra?

Po chwili wahania, Fenrir zabrał się za jedzenie, natomiast Walter zebrał niezbędne narzędzia pracy. Dzisiaj czekała ich robota w polu, a potem zasuwanie w magazynie należącym do Alberta. Ktoś mógłby powiedzieć, że stojący na czele Neighfordu ogier, wbrew nastrojom reszty mieszkańców, zdecydował się pomóc Walterowi i Fenrirowi. Nic bardziej mylnego. Tak naprawdę chodziło mu tylko o tanią siłę roboczą, która nie wzbudzi większej niechęci wśród innych biednych kucyków i jednocześnie posłuży za argument, gdy Henrietta znowu zacznie rozmowę na temat tego, że „*nie to miała na myśli, gdy prosiła zatrudnienie Waltera*”. Głódowa pensja, jaką Albert wypłacał bratu, była niewystarczająca i często ten był zmuszony wysyłać Fenrira, aby ten dorywczo zarobił trochę pieniędzy. Obojętnie ile, choćby ćwierć pesos. Rzadko kiedy mu się to udawało. Nikt nie miał ochoty ani płacić, ani pomagać jakiemuś malcowi, podczas gdy sam niewiele miał.

Praca u wuja była dla Fenrira upokarzająca, jednakże na chwilę obecną był to jedyny sensowny wybór. Podobnie jak jego ojciec, pokornie znosił swój los. Nie rozumiał, dlaczego Albert tak bardzo wzbraniał się przed udzieleniem pomocy własnemu bratu. Także tego dnia,

młody pegaz musiał patrzeć jak jego ojciec ciężko haruje za psie pieniądze. Atramentowy ogier chciał zostawić synowi tylko te najłatwiejsze zadania, jednakże na dłuższą metę nie udawało mu się zgasić zapалу malca, który uparcie starał się pomagać absolutnie we wszystkim.

Powoli zbliżało się popołudnie, toteż Walter i Fenrir przenieśli się z robotą do magazynu. Z pustymi brzuchami. Całą swoją uwagę starali się skupić na pracy, gdy niespodziewanie odwiedziła ich Gelgia. Pomimo młodego wieku, złotogrywa klacz posiadała niezłą smykałkę do interesów, w związku z czym Albert szybko zabrał się za odpowiednie szkolenie, aby jak najszybciej wdroyć ją do rodzinnego interesu. Ponieważ Walter i Fenrir nie spodziewali się jej o tej porze, początkowo przeczuwali kłopoty, ale szybko przekonali się, że wszelkie obawy były daremne. Przyjaźnie się uśmiechając, Gelgia wyjęła ze swojego plecaka dwa okazałe posiłki.

- Proszę bardzo, zjadajcie. Najwyższy czas na przerwę – oznajmiła klaczka.
- Dziękujemy. Powiedz, przyszedł tu sama, czy może mój brat nie wiedział co zrobić z przeterminowanym żarciem? – zapytał podejrzliwie Walter, rozpakowując pakunek.
- Bez obaw, wszystko jest świeże. Tata nic nie wie. Sama wyrwałam się z kramu, gdy poszedł na obiad.
- Nie boisz się? – zapytał zdziwiony Fenrir.
- Może troszeczkę... Nadal boli mnie ucho, po tym jak mnie ostatnio wytargał – odpowiedziała beztrząsowo złotogrywa klaczka.
- A drugie ucho?
- Już przestaje. Przykro mi, że wtedy się nie udało.
- Mówiłem ci już, że nie musisz nadstawiać karku i załatwiać naszych problemów. Poradzimy sobie. Obiecuj, że nie będziesz się za nami wstawiać i podbierać pieniędzy z domowego skarbczyka, dobrze? Nie potrzebujesz dodatkowych kłopotów – poprosił Walter.
- Niczego nie obiecuję. Nie podoba mi to, się jak tata was traktuje. Zaslugujecie na więcej. Skoro on nie chce, to ja wam będę pomagać.
- Jak zwykle nie dajesz się przekonać, co? – Walter westchnął. – Dobra z ciebie bratanica. Szkoda, że ten stary skąpiec cię nie docenia.
- Nie tylko mnie. Mały Gleipnir często obrywa, bo według taty do niczego się nie nadaje. Jest jednorożcem i moim zdaniem to naturalne, że ciągnie go do magii, a nie do kupiectwa.
- Kara go za to, że jest jednorożcem? – dziwił się Fenrir.
- Nie, o to nikt nie ma do niego pretensji. Chodzi o to, że nie radzi sobie w interesach, chociaż wszystko mu się pokazuje i powtarza po kilka razy. On po prostu tego nie czuje – wyjaśniła Gelgia.
- Czy on nie jest na to po prostu za mały? – zapytał nagle Walter.
- Według taty ma tyle lat, co trzeba. Skoro ja umiem, to on też musi. Pewnie w końcu mu odpuści, tylko czym on się wtedy zajmie?

- Chciałbym spotkać się z kuzynem Gleipnirem... – odezwał się nieśmiało pegaz.
- Raczej marne szanse. A szkoda, młody dostał ostatnio taką fajną kolejkę i mówił mi, że strasznie chciałby się z tobą pobawić. Na co dzień strasznie się nudzi.

Miłą rozmowę przerwał huk otwieranej energicznie bramy. Zaraz potem w budynku rozległy się odgłosy kroków. Bez wątpienia ten, kto je stawiał, był nieźle podburzony i pewny tego, co zamierzał zrobić. To Albert, z typową dla siebie skwaszoną miną, niespodziewanie wpadł do magazynu. Na widok szybko zbliżającego się w jej stronę rozszoszczonego ojca, Gelgia nagle zbladła i odruchowo wykonała kilka kroków w tył. Gdy tylko ten znalazł się dostatecznie blisko, zadrżała. Wiedziała, że nie powinna była tu przychodzić w godzinach pracy i pomagać wujkowi, którego to Albert darzył szczególną antypatią.

- Co tu się wyrabia?! Mielście skrzynie przenosić! – denerwował się ogier, widząc niepracującego brata i bratanka.
- Cieszymy się, że nam tak dobrze idzie. Bez nerwów, wszystko będzie gotowe na czas.
- Akurat. A ty co tu robisz? Nudzi ci się? Mało masz roboty? Wiesz, gdzie powinnaś teraz być?! Kto ci w ogóle pozwolił przynosić im żarcie z NASZEJ spiżarni?! Na pewno nie ja! – wzburzony Albert zwrócił się do wystraszonej Gelgii.
- Ja... Ja tylko...
- Tylko co?! Bierz zad w troki i wracaj do swoich obowiązków, ale już! Nie przebywaj za długo z tym kurduplem, bo zgłupiejesz! – rzucił surowo herszt Neighfordu, spoglądając na małego Fenrira.

Wystraszona Gelgia bez słowa pogalopowała do wyjścia. Miała nadzieję, że jeśli dostatecznie szybko wróci do pracy i wypełni swoje obowiązki, wówczas ojciec łaskawie zrezygnuje z kary. Walterowi bardzo nie podobało się to, jak jego brat traktował swoją własną córkę i w jaki sposób mówił o Fenrirze. Marszcząc brwi, Albert dokładnie przyjrzał się atramentowemu ogierowi.

- Widzę, że już skończyłeś zjeść moje jedzenie?
- Tak, skończyłem – odpowiedział stanowczo Walter.
- Ha! Za to kurdupel nie skończył! – zawołał szyderczo Albert, wrywając Fenrirowi posiłek. – Mam jeszcze w miarę dobry humor, więc radzę wam porządnie wziąć się do roboty, albo nawet sucharka nie dostaniecie! Aha, Gelgia jest wam wdzięczna. Dzisiaj nie dostanie kolacji!
- Ej, tak nie można! – zaprotestował Fenrir.
- Nie wtrącaj się, gówniarzu! Może dam jej to, czego ty nie zdążyłeś zjeść. A teraz do roboty! – rzucił zimno Albert, po czym opuścił magazyn.

Przygnębiony Fenrir odprowadził wuja wzrokiem. Jak to zwykle miało miejsce w takich sytuacjach, zaczął zastanawiać się, z czego wynikało takie nastawienie Alberta. Czasem miał wrażenie, że przysparzanie innym kłopotów dawało mu jakąś dziwną satysfakcję. Młody pegaz już miał wrócić do pracy, gdy nagle zobaczył, jak Walter wyciąga skądś posiłek, który przyniosła mu Gelgia. Wprawdzie zostało mniej niż połowa, ale jeden kuc mógłby się najieść. Atramentowy ogier podsunął to wszystko zaskoczonemu Fenrirowi.

– Kłamałem. Masz, dojedz to, co zostało. Ja dokończę robotę, a potem zrywamy się stąd. Mam już dość zasuwania dla tej kutwy. – Walter westchnął, po czym pomyślał o dwójce źrebiąt. – Biedne są te dzieciaki... Gelgia i Gleipnir... Takie dobre, uczynne dzieci, a on tak nimi pomiata...

Fenrir na szybko ugryzł kilka kęsów, tuż zanim zapakował jedzenie i schował do swojego wysłużonego plecaczka. Zaraz po tym poszedł pomagać ojcu, dzięki czemu obaj skończyli pracę nieco szybciej. Nie spodziewali się wiele za swoją robotę i nie mylili się. Jeden i pół pesos raczej nie starczyło na zbyt długo. Albert miał w zwyczaju dawać wypłatę raz na tydzień, o czym i tak często „zapominał”.

Po pracy w magazynie ojciec i syn poszli pomagać w warsztacie rzemieślniczym, za co dostali trochę jedzenia. W sam raz na skromną kolacyjkę. Późnym wieczorem, kiedy obaj wrócili do swojej chatki, Walter jeszcze raz zabrał się za przeliczenie oszczędności i z lekkim zdziwieniem stwierdził, że w tym miesiącu los był dla nich wyjątkowo łaskawy. Nawet gdyby do końca miesiąca Albert im nie płacił, to nie powinno być aż tak źle. Niedługo w te strony mieli zawitać kupcy, więc szykowały się małe zakupy. Fenrir miał nadzieję, że tym razem uda się zdobyć jakieś nowe ubrania. Te, które nosił na co dzień, były już dosyć wysłużone i za małe.

W końcu nadeszła pora na sen, ale jak zmęczony Walter zasnął niemalże od razu, tak Fenrir bez przerwy wiercił się, próbując znaleźć wygodne miejsce. Po kilkunastu minutach spędzonych na bezowocnych próbach zmruczenia oka, pegaz usłyszał ciche stukanie w okno. Jak się okazało, to była Gelgia, która zgodnie z jego życzeniem przyprowadziła zaspanego Gleipnira. Fenrir bardzo się ucieszył na widok młodszego kuzyna. Bez namysłu otworzył okno i wyszedł na zewnątrz, by choć przez chwilę porozmawiać. Zanim jednak przeszedł do rzeczy, dał Gelgii jedzenie, które zapakował w magazynie. Wiedział, że Albert rzadko kiedy rzuca słowa na wiatr, jednakże ta uspokoiła go, mówiąc, że tym razem jednak blefował.

– Zobacz, taką kolejkę dostałem, ale nie mam ze sobą wszystkich wagoników. – Gleipnir pokazał kuzynowi nową zabawkę.

– Fajna. Jak się wyrwaliście z domu? – zapytał pegaz, oglądając kolejkę Gleipnira.

- Rodzice śpią, niczego nie zauważyli i nie zauważą. Spokojna głowa, wiem co robię.
- Tak, Gelgia załatwiła wszystko po cichutku!
- Fajnie cię znowu widzieć. Czarowałaś coś nowego? – ciekawił się pegaz, przypominając sobie niesamowite historie i bajki o jednoroźcach.
- Nie bardzo. Nie ma tu żadnej szkoły. Nawet mama nie zna się na tym zbyt dobrze. Tata mówi, że tutaj nie będę miał pożytku z czarów... Ale ja naprawdę, bardzo chcę się nauczyć magii – mówił jednorożec. – Nie wiem co mam robić, nie chcę być kupcem.
- Nie znasz ani jednej magicznej sztuczki?
- No... Coś już próbowałem...

Gleipnir mocno się skupił. Przez jego rdzeń kręgowy przepłynęła energia, a róg delikatnie zadrżał. Mały jednorożec zaczął tupać kopytkiem i stękać, aż w końcu róg zajarzył się. Lokomotywa i wagonik, które Fenrir położył na ziemi, uniosły się na kilka centymetrów i lewitowały niestabilnie, dopóki jednorożec nie stracił mocy. Choć Gleipnir zdołał utrzymać zabawkę w powietrzu tylko przez jakieś dwie sekundy, ta prosta sztuczka bardzo spodobała się jego kuzynowi.

- Bardzo ładnie! Jakbyś się trochę podszkolił, byłbyś całkiem niezłym czarodziejem!
- Gelgia pochwaliła młodszego brata.
- Zmęczyłeś się? – zapytał Fenrir.
- Tak... To jest bardzo męczące, ale ciągle ćwiczę. Może kiedyś będę mógł unieść więcej wagoników albo zrobić coś jeszcze innego. Tata nie pozwala mi robić sztuczek.
- Jesteś niesamowity! – dodał pegaz, zafascynowany mocą jednoroźców.
- Obaj jesteście niesamowici! Jeden robi sztuczki, a drugi przechowuje dla mnie jedzenie, w razie gdyby mój stary kazał mi iść spać z pustym brzuchem! Kocham was, maluchy! – powiedziała wesoło Gelgia, przytulając do siebie brata i kuzyna.
- Ja nie jestem maluchem! Jestem tylko trochę młodszy od ciebie! – odezwał się Fenrir, wywołując u złotogrzywej napad śmiechu.
- Szkoda, że nie możemy jeszcze zostać. Robi się późno i jestem już trochę zmęczony... – mruknął nieśmiało Gleipnir.
- Mhm. Szkoda, ale wyspać się trzeba – przyznał pegaz. – Mój tata mówi, że jak ktoś nie śpi w nocy, to staje się nocnym stworzeniem i potem może pracować w dzień.
- Możliwe... Znowu nie możesz spać? Coś nie tak?
- Wiecie co? Tęsknię za mamą. Chciałbym wiedzieć, gdzie teraz jest – wyznał po chwili wahania niebieski ogierek.
- Ja tego nie wiem, ale nie martw się. Na pewno kiedyś wróci.
- Nie. – Fenrir pokręcił głową. – Tata mówi, że mama jest tak daleko, że nie może już wrócić. Ale za to może na mnie patrzeć. Ciekawe, gdzie to jest.

Przecierając oczy i przysłuchując się rozmowie, Gleipnir przypomniał sobie, że miał coś zrobić. Wpadł na ten pomysł jeszcze zanim wraz z siostrą wymknął się z domu. Wiedział,

że jego kuzyn nie miał zabawek, toteż chcąc się z nim podzielić, wręczył mu drewnianą lokomotywę i wagonik. Chciał go trochę pocieszyć. Co prawda znaczną większość dnia Fenrir spędzał na pomaganiu Walterowi przy pracy, ale Gleipnir uważał, że każdy żrebak powinien mieć coś do zabawy.

– Pożyczam ci ją. Pobaw się trochę, oddasz mi przy następnej okazji. Spróbuj zasnąć, dobrze?

– Dzięki, postaram się. To co, do zobaczenia?

– Do zobaczenia za niedługo! Baw się dobrze! – powiedziała na pożegnanie Gelgia, po czym wraz z Gleipnirem udała się w stronę swego domu.

Fenrir niechętnie wrócił na posłanie. Trzymając lokomotywę i wagonik, zamknął oczy w oczekiwaniu na sen. Po kilku dłużących się w nieskończoność minutach udało mu się zasnąć. Wszystko wskazywało na to, że do sprowadzenia snu wystarczył jakiś talizman. Choć nie wiodło mu się dobrze, cieszył się, że ma przy sobie ojca i kuzynostwo. W niektórych sytuacjach młody pegaz czuł się tak, jakby Gelgia na przemian z cicią Henriettą zastępowała mu matkę, którą to ledwo pamiętał. Tylko dzięki temu nie popadał w apatię.

* * *

Podobnie jak Gelgia, Gleipnir również miał wiele wspomnień związanych z Fenrirem. Choć w jego głowie dominowały przede wszystkim te ciepłe chwile, to jednak w każdym przypadku były one czymś splamione. A to przez pretensje ojca, a to przez biedę i ogólnie przygnębiający klimat panujący w mieście, a to przez problemy dorosłych, z którymi jednorożec musiał się przedwcześnie zmierzyć. O kłopotach wynikających z jego promagicznej natury i braku żyłki do interesów nie trzeba wspominać.

Podczas gdy Gelgia zastanawiała się, co teraz porabiał jej młodszy kuzyn, Gleipnir przeglądał kolejne rysunki. W pewnym momencie przywołał w myślach inną historyjkę, z jednej strony nacechowaną pozytywnie, a z drugiej zawierającą sceny, o których jednorożec wolałby raz na zawsze zapomnieć.

* * *

To był wyjątkowo upalny dzień. Słońce grzało niemiłosiernie, powietrze było suche, a gorąco wydobywające się z kuźni i warsztatów tylko pogarszało sprawę. Każdy kucyk marzył o szklance zimnej wody albo cieniu. Przez przedłużającą się suszę pola usychały, kiepsko miały się także drzewa, tworzące tu i ówdzie niewielkie laski. Tak więc, cienia było jeszcze mniej niż zazwyczaj. Większość zapasów wody była wykorzystywana do nawadniania tego, co ostało się z upraw. Bez wątpienia było to najgorętsze lato od wielu lat.

Tego dnia pięcioletni Gleipnir, szukając jakiegoś chłodnego miejsca, natrafił na starą i zniszczoną szopę ulokowaną na tyłach stodoły należącej do jego ojca. Usiadł spokojnie pod drewnianym daszkiem, po czym położył się na boku i przymknął oczy. Wyobrażał sobie, jak świetnie by było, gdyby znalazł kogoś, kto mógłby go nauczyć jakichś podstaw magii czy czegośkolwiek. Marzył o niesamowitych magicznych sztuczkach i różnych wyjątkowych zaklęciach, którymi zadziwiłby innych. Niestety, ale nawet matka, po której to swój róg odziedziczył, nie potrafiła mu pomóc. Na rzecz rodzinnego interesu na dobre porzuciła czarowanie. Jej postawa nie wynikała jednak z osobistego zdania, ale raczej z presji, jaką wywierał na nią Albert. Gleipnir skrzywił się na samą myśl o ojcu i jego pretensjach. Jego przemyślenia przerwało śmiałe szturchnięcie w ramię.

– Cześć! Co robisz? – zapytał Fenrir, mając na grzbiecie prowizoryczne chłodziwo w postaci mokrego ręcznika.

– Nudzi mi się. Nie chcę już siedzieć przy tych zeszytach z cyferkami i liczyć – odpowiedział Gleipnir, leniwie się przeciągając.

– Ja dzisiaj próbowałem latać.

– I co, umiesz już?

– Jestem coraz lepszy. Przesuń się.

Jednorożec odsunął się trochę dalej, na granicę cienia i słońca. Fenrir usiadł tuż obok niego. Oparł się o ścianę stodoły i zasłonił swoją czapką oczy. Jemu też przeszkadzał ten upał, ale niespecjalnie się skarżył. Wolał piekielne gorąco niż chłód i zawieruchę, na które miał już alergię.

– Za gorąco na zabawę. Nic się nie chce robić – napomknął ogierek.

– Ano. Jakby było chłodniej i jakby Gelgia miała czas, to znów pobawilibyśmy się w berka.

– Albo w chowanego – dodał pegaz, składając swe kopyta za głowę.

– Nie, Gelgia zawsze szybko nas znajduje. A jak ona się chowa, to w takich miejscach, żebyśmy specjalnie ją znaleźli. Co to za zabawa?

– Bo jak wtedy ona się za dobrze schowała i jej nie mogliśmy znaleźć, to zacząłeś płakać i jej się tak przykro zrobiło, że wyszła i od tamtej pory już tak dobrze się nie chowa.

– Wcale nie płakałem na serio! – Jednorożec machnął kopytem.

Po kilku minutach lenienia się, Fenrir nagle wstał z miejsca i zaczął chodzić w kółko. Patrzył przy tym w dal, w stronę północy. Pomijał wzrokiem usychające pola i pracujące z mazołem młyny. Koncentrował się na górach i znikających gdzieś w oddali torach kolejowych. Musiał zasłonić się kopytem, by światło słoneczne nie kłuło go w oczy.

- Gleipnir... Jak myślisz, co jest tam, daleko?
- Daleko? Ale gdzie? – wyglądał jednorożec.
- No tam, gdzie znikają szyny – mruknął pegaz, wskazując skrzydłem kierunek północny. – Po co one w ogóle są?
- Nie wiem... Ale słyszałem, że tam jest takie państwo, gdzie jest dużo magii i że rządzi tam taka dobra pani, która dużo wie i wszystkim pomaga. Tata mówi, że to szarlataneria.
- Skoro jest taka dobra, to czemu nie może nam pomóc?
- Może jest tak daleko, że nie wie, co tu jest?
- Czyli wcale nie jest taka mądra? – odpowiedział kolejnym pytaniem pegaz.
- A może jest tak zajęta pomaganiem, że na nas nie ma czasu? – zgadywał dalej brunatnogrzywy jednorożec.

Snując swoje przemyślenia, żaden z nich nie zauważył, jak przybywające ze wschodu chmury zaczęły przysłaniać słońce. Pogoda powoli, lecz z zadowalającymi rezultatami, zaczynała się zmieniać. Żar już nie dawał się we znaki, raz po raz powiał nawet chłodny wiaterek. Z czasem zaczął zbliżać się wieczór. Choć nigdy wcześniej dwaj kuzyni nie przywiązywali do tego większej uwagi, dziś zachód słońca wyjątkowo ich urzekł. Siedzieli spokojnie i patrzyli, jak wielka, świetlista kula powoli znika za horyzontem. Podobało im się pomarańczowe, a potem czerwone niebo.

- Chciałbym być podróżnikiem... – odezwał się w końcu Fenrir.
- I dokąd byś podróżował?
- Nie wiem jeszcze. Może tam na północ, a może gdzieś dalej... Byłe słońce tam tak ładnie zachodziło.

Powietrze robiło się coraz chłodniejsze, zaś światło dnia powoli wypierane było przez mrok nadchodzącej nocy. Dwaj kuzyni zdecydowali, że najwyższy czas do domu. Nie chcieli zbyt niepokoić rodziców. Żegnając się, Fenrir skierował swe kroki ku barakom, natomiast Gleipnir poszedł w stronę spichrza i stoisk handlowych. To była najkrótsza droga. Stamtąd był już tylko rzut podkową od jego domu, do którego trafił po kwadransie spokojnej wędrówki. Po cichu wszedł do środka i udał się w stronę małej kuchni. Zastał tam swoją matkę, która wyglądała na zaniepokojoną.

- Już wróciłem, mam... Mogę coś zjeść? – zapytał niepewnie jednorożec.
- Tu jesteś! – zawołała Henrietta, po czym pospieszyła w stronę syna, aby go uściskać. – Wiesz, że pół godziny temu Albert poszedł cię szukać?
- Ale po co? Nic mi nie jest – zdziwił się Gleipnir. – Jestem głodny. Mogę coś zjeść?

Henrietta kiwnęła głową, po czym podała swej latorośli miskę owsianki. Gdy jednorożec zabrał się za jedzenie, klacz podeszła do okna. Przez kilka minut oglądała zbierające się do domu kucyki, po czym poszła do największego pokoju. Zajadając owsiankę, Gleipnir słyszał, jak jego mama rozmawiała z Gelgią, która w dalszym ciągu uczyła się, jak prowadzić księgi rachunkowe i zarządzać rodzinnym interesem. W pewnej chwili do domu wrócił Albert, który na widok siedzącego w kuchni syna zdenerwował się nie na żarty. Czyżby zapomniał, że niespełna godzinę temu sam wyszedł, by go poszukać?

– No, znalazł się, syn marnotrawny do jasnej cholery! Gdzieś się szlajał?! – warknął herszt Neighfordu, waląc kopytem w stół.

– Tato, było bardzo gorąco, a ja już nie chciałem liczyć... Ja nie rozumiem tego, chciałem odpocząć...

– Odpocząć? ODPOCZAĆ?! – Ogier zaczerwienił się ze złości. – Ciekawe, cholera, po czym! Spójrz na swoją siostrę, siedzi i się uczy, a ty?! Tylko tak dalej, a wszystko zepsujesz! Czy ty się w ogóle do czegoś nadajesz?! – krzyczał Albert, szarpiąc Gleipnira za ucho.

– Ja nie potrafię... Ja sobie z tym nie radzę... Chciałbym czarować!

– Z durnowatych sztuczek nie będziesz miał pieniędzy! Ty masz zarabiać PIENIĄDZE, nie rozumiesz?! – mówił przez zęby Albert. – Chcesz, żebyśmy wszystko stracili, wyładowali na bruku, tak samo jak mój bezmózgi brat i ten jego bękart?! Chcesz być bezużyteczny, tak jak on?!

– Albert, natychmiast przestań! Mały Fenrir nie jest żadnym bękartem, a Walterowi po prostu się nie powiodło! Staraj się i ty o tym wiesz! Gleipnira ty przestań szarpać, ma dopiero pięć lat! – zdenerwowała się Henrietta, natychmiast zjawiając się w kuchni.

– Pięć czy nie pięć, w ogóle nie interesuje się naszymi sprawami! Nie pozwolę, aby zajmował się bzdurami!

– Gelgia, gdy miała pięć lat, też nie miała do tego głowy! Niedawno zaczęła się uczyć, nie wymagaj od naszego syna zbyt wiele! – Klacz odciągnęła rozzłoszczonego męża od młodego jednorożca.

– Akurat. Widzę, że te rogi naprawdę wypaczają rozum.

– Ty się od rogów odczep! Trzeba było sobie znaleźć inną żonę, jak ci jednorożce nie pasują! – rzuciła ze złością w głosie Henrietta. – Wszyscy nasi znajomi nie mają absolutnie nic do rogów. Tylko ty jeden ciągle na to narzekasz, co jest z tobą nie tak?

– Wiesz dlaczego ci, jak to określiłaś, „znajomi” to akceptują? Powiem ci dlaczego! Bo liczą, że nasz syn wyrośnie na partacza i żalosnego magika, który nie będzie w stanie zajmować się Neighfordem! A wtedy oni położą na nim kopyta, wypieprzą nas na zbity pysk i zgarną wszystkie pieniądze! Moje pieniądze!

– Jak możesz podejrzewać o takie zamiary tych, którzy nas wspierają? Przyjaciół?

– Przyjaciół?! Dobre sobie! Nie istnieje coś takiego jak przyjaźń! – upierał się ogier. – Tu trzeba kombinować, jak przeżyć i wyjść na swoje! Tylko to się liczy! Nasze dzieci mają być zaradne, a nie sentymentalne i słabe! Ci „przyjaciele” będą dla nas mili, tylko gdy będą

czegoś potrzebować, a gdy zwęszą podstęp i nażrą się za nasze, odwrócą się od nas i tyle warta będzie ich „przyjaźń”! Ile razy mam wam to tłumaczyć?! Czy do was nic nie dociera?!

Albert często wpadał w złość, jednakże dziś przeszedł samego siebie. Ten słowotok był nie do zniesienia, zaś ton, w jakim został wypowiedziany prawdziwie przerażający. Ze strachu przed gniewem ojca, Gleipnir schował się pod stołem i z całych sił zatkał kopytami uszy. Bardzo chciał, by ta kłótnia czym prędzej się skończyła. Bliski płaczu, skulił się, gdy Albert znów uderzył w blat stołu. Na szczęście był to zwiastun końca tej jakże burzliwej wymiany zdań. Po kilku stresujących, ale szybko upływających minutach, Henrietta spokojnie wywołała Gleipnira spod stołu.

– Możesz już wyjść, synku, ta zrzęda poszła na górę.

Gleipnir wygramolił się ze swojej kryjówki i od razu przytulił do matki. Całej tej scenie towarzyszył cichy płacz.

– Mamo, czy ja się do niczego nie nadaję? – zapytał przez łzy jednorożec.

– Nie, skądże. – Klacz pogłaskała swojego syna po grzywie. – Na pewno masz jakiś talent, tak jak każdy. Nie płacz już, ojciec taki jest, bo się martwi. Wiesz, jak ciężko tu się żyje.

– Wiem. – Gleipnir pociągnął nosem. – Ale czy on musi tak krzyczeć? I dlaczego tak nie lubi wszystkich?

– Bo za bardzo się denerwuje. Nie chce okazywać słabości, łatwiej jest mu walić w stół. To wszystko.

Właśnie wtedy w progu pomieszczenia stanęła zmieszana Gelgia. Złotogrzywa klaczka trzymała w zębach swój zeszyt i wydawała się głęboko zasmucona kłótnią, która miała miejsce kilka chwil temu. Zwlekała z zabranie głosu.

– Już skończyłam. Mogę iść do pokoju? – zapytała nieśmiało.

– Tak, oczywiście. Dobrze się dziś spisałaś – mruknęła z uśmiechem na pyszczku Henrietta.

Gelgia pokornie skinęła głową i poszła na piętro, do pokoju. Gdy Gleipnir nieco się uspokoił, dokończył jeść owsiankę, po czym również udał się na górę. Prawdę mówiąc, stracił resztę chęci i nie chciało mu się już nic robić. Nawet nie miał ochoty sięgnąć do swoich ulubionych baśni o wielkich czarodziejach i ich dokonaniach. Albert jak zwykle zdusił w nim wszelaką motywację do stania się „żywym miotaczem zaklęć”.

– Hej, braciszku. Jesteś jeszcze smutny?
– Tak... Trochę. Nie chcę, żeby rodzice się kłócili.
– Boli cię ucho? – Gelgia wskazała na lewe ucho Gleipnira, noszące czerwony ślad po mocnym szarpnięciu.
– Nie... Już nie.

Złotogrzywa położyła się na grzbiecie i wzięła głęboki oddech. Wpatrując się w sufit, myślała o tym, czego się dziś nauczyła. Sprawy, którymi zajmowali się jej rodzice, zaczynały ją coraz bardziej interesować, jednak smuciło ją to, że Gleipnir non stop miał kłopoty ze względu na swoje marzenia o magii. Martwiła się, że nigdy nie nauczy się tego, czego życzył sobie Albert i przez to wiecznie będzie narażony na jego gniew. Marzyła, by w przyszłości móc zarządzać wszystkim wspólnie z młodszym bratem, lecz na to się nie zanosilo. Najbardziej realna była perspektywa, że Gelgia już zawsze będzie pod presją ojca, który do końca swych dni nie pozwoli jej na jakiegokolwiek samodzielne decyzje. Póki co, wszystko wskazywało na to, że Gleipnira czeka podobny los.

* * *

Rodzeństwo jeszcze przez jakiś czas oglądało rysunki, na których to utrwaliły się kolejne wspomnienia. Każde z nich myślało o tym, co się teraz działo z Fenrirem. Gelgia miała nadzieję, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo i że znajdzie się pośród kucyków, które o niego zadbają. Może nie tak dobrze, jak czyniła to Henrietta, ale jednak.

Zmęczony Gleipnir na chwilę tylko przymknął oczy, lecz zanim zapragnął je otworzyć, zapadł w głęboki sen. Gelgia natomiast, jeszcze nie zamierzała poddać się piaskowemu dziadkowi. Zbyt wiele myśli przechodziło jej przez głowę. Cichutko zgasila lampę, po czym ułożyła młodszego brata na poduszce i przykryła kocem. Tym samym, który jeszcze chwilę temu służył za szalas i pod którym jeszcze nie tak dawno przesiadywała cała trójka, opowiadając sobie straszne historyjki.

Złotogrzywa klacz rozsunęła zasłony i popatrzyła przez okno. Burza już minęła, jednakże chmury nadal płakały. Grube krople deszczu uderzały o miękką ziemię, tworząc coraz większe błotne bajora i kałuże. Spadające doń krople, niczym ciężkie kamienie uderzały o zwierciadło wody, wydając z siebie charakterystyczny „plusk”. Na zewnątrz nie widać było żadnego kucyka. Światło tliło się tylko w dwóch okienkach. Gelgia westchnęła, po czym powoli podeszła do szafki, na której spoczywało kilka fotografii. Kamera otworkowa była w tych stronach prawdziwym luksusem, a Albert, jak to Albert, skąpił kliszy na każde zdjęcie. Zdjęcie, na którym klacz zawiesiła swój wzrok, swego czasu wprowadziło jej ojca w nieopanowaną frustrację.

Na zdjęciu znajdowała się czteroletnia Gelgia oraz Fenrir, który wówczas kończył roczek. Zdjęcie zostało zrobione podczas jednej z „sekretnych wizyt”, na które raz na jakiś czas pozwalali sobie Walter i Iris, za namową Henrietty. Na utrwalonym obrazie klaczka bawiła się ze swoim kuzynem drewnianymi klockami. Wraz z malcem starała się zbudować wieżę wyższą niż ona sama. Fenrir wciąż uczył się łapać i podnosić różne przedmioty, więc w budowaniu klockowej budowli był nieco nieporadny, ale uparcie próbował. Ogierek aż się rozplakał, gdy była już pora wracać do domu. Wówczas wraz z nim zapłakała także i Gelgia.

Uśmiechając się od ucha do ucha, klacz zastanawiała się, gdzie były teraz klocki, które krótko po tamtej wizycie podarowała swemu kuzynowi, by mógł bawić się u siebie wraz z rodzicami. Fenrira nie było w Neighfordzie zaledwie od kilku godzin, a już bardzo za nim tęskniła. Wiedziała, że prędko nie pogodzi się z wyborem kuzyna. Czuła się jego siostrą, tak jak Henrietta czuła się jego matką. Kochała go jak brata. Była z nim zawsze i od początku, także w tych najcięższych chwilach, które to głęboko wryły się w pamięć ogierka.

* * *

To był bardzo ponury, chłodny poranek. Było dosyć ciemno i lał straszny deszcz, który stukał w okno chatki Waltera i Fenrira tak głośno, że malec nie mógł już dłużej spać. Ogierek ziewnął, przetarł oczy, po czym w ramach gimnastyki kilka razy przeciągnął się i zatrzepotał skrzydełkami. Zaraz po tym rozejrzał się dookoła. Ku swemu zaniepokojeniu, nigdzie nie mógł wypatrzyć ojca. Jeszcze raz przetarł oczy, zwlekając się z posłania. Słychać było jedynie krople uderzające o szybę i szum szalejących na zewnątrz wichrów.

– Tato? – zapytał niepewnie Fenrir, przechadzając się po chatce.

Waltera nie było w domu. Na stole wciąż leżała wczorajsza bułka, tuż obok pleśniejącego sera. Nie namyślając się zbyt długo, pegaz zjadł kajzerkę, po czym wrócił na posłanie i okrył kocem, czekając na powrót taty. Deszcz nie przestawał padać, a w chatce robiło się coraz chłodniej. Z czasem pozornie zwyczajne opady zamieniły się w straszną burzę, co jeszcze bardziej nappełniło strachem młodego ogierka. Malec miał złudną nadzieję, że burza niedługo przejdzie, ale niestety, potrwała ona aż do południa. Kiedy pogoda na zewnątrz wreszcie się uspokoiła, pegaz wyjrzał przez okno. Wszędzie było pełno wody, błota i śmieci, głównie pustych butelek. Co gorsza, nigdzie na horyzoncie nie widać było Waltera. Głodny i wystraszony Fenrir zmartwił się, że stało się coś złego. By ułatwić sobie odrzucenie najczarniejszego scenariusza, pomyślał, że być może rano po prostu zaspał, więc ojciec sam poszedł do pracy i niedługo wróci.

Fenrir leżał w ciemnościach zupełnie sam, oczekując na powrót Waltera tak długo, aż w końcu zasnął. Nie była to jednak spokojna noc. Co rusz budziły go mamrotania i żalosne

śpiewy pijanych ogierów, czy też wrzaski. W snach też nie mógł zaznać spokoju. Ciągłe śniły mu się koszmary. Suma wszystkich jego strachów bezlitośnie nawiedzała jego myśli, doprowadzając do pogłębienia się obaw i bólu. Kiedy osłabiony zbudził się następnego dnia, z przerażeniem spostrzegł, że Waltera nadal nie było.

– T-tata? – odezwał się Fenrir ze łzami w oczach, po czym wyszedł przed chatkę.

Przez jakiś czas spacerował, usiłując doszukać się jakichś podpowiedzi. Wszystko wydawało się zwyczajne. Kucyki budziły się i śpieszyły do pracy, klacze wybierały się na poranne zakupy. Nie wiedząc, co robić, Fenrir popędził do Gelgii, aby jej o wszystkim opowiedzieć. Jak się okazało, miał szczęście, gdyż w faktorii handlowej nie było Alberta. Po usłyszeniu opowieści kuzyna, niewiele myśląc i narażając się na gniew ojca, Gelgia postanowiła pomóc mu w jego poszukiwaniach. Niestety, nigdzie nie było nawet najmniejszego śladu Waltera. Pozbawiony najbliższej mu osoby, ogierek nie wiedział, jak sobie poradzić. Nie chciał bezsennych ze strachu nocy. Nie chciał umierać z głodu.

Gelgia zaproponowała zrozpaczonemu kuzynowi, aby ten zatrzymał się u wuja, póki Walter się nie odnajdzie, lecz Fenrir nie chciał o tym słyszeć. Bał się Alberta i tego, jak mógłby zareagować. Nie znajdując żadnej rozsądnej alternatywy, wraz ze swym bratem klaczka postanowiła ukradkiem pomagać Fenrirowi, za co niejednokrotnie była karana. Ale świadomość, że dzięki ich poświęceniu pegaz nadal żył i miał się względnie dobrze, rekompensowała wszelkie zale.

Niestety, Walter wciąż nie dawał znaku życia, a po dwóch tygodniach Fenrir porzucił jakiegokolwiek nadzieję, że jego tata bezpiecznie wróci do domu. Albert nie miał zamiaru zajmować się bratankiem, a już w żadnym wypadku nie chciał dopuścić do wmieszania się swych dzieci w podejrzaną zniknięcie ich wujka. Zaostrzył rygor i zabronił kontaktu z Fenrirem, w związku z czym ten musiał liczyć tylko na siebie. Zaczynał od drobnych prac, na przykład jako pomocnik kowala, jednakże w pewnym momencie wszystko się załamało. Nagle kucyki przestały zwracać na niego uwagę. Jego kuzynostwo stało się wtedy ostatnią deską ratunku. Pegaz potrzebował Gelgii i Gleipnira bardziej, niż kiedykolwiek.

Minęło trochę czasu. Tak jak miało to miejsce przez kilka ostatnich dni, lał okropny deszcz. Tak częste opady tutejsi zwykli nazywać „pegazim piętnem”. Wierzano, że ilekroć z nieba nagminnie i w hurtowych ilościach spadały zimne krople, gdzieś na górze czały się pegazy. Łopocząc skrzydłami jak oszalałe, miały wymuszać na chmurach wędrówkę, co ostatecznie doprowadzało do niekończących się deszczów. Mit ten jeszcze bardziej podburzał tutejszych przeciwko kucykom z innych miast, głównie tych skrzydlatych.

Atmosfera była podobna do tej, jaka panowała w dniu, w którym zniknął Walter. Po raz wtóry Gleipnir wraz z siostrą wymknął się z domu, aby zanieść Fenrirowi jakieś nowe rzeczy i coś do jedzenia. Brodząc w błocie i uważając, by niesione dla kuzyna rzeczy zbyt nie przemokły, rodzeństwo parło naprzód, aż w końcu dotarło na miejsce. Ich oczom ukazała się stara, zapuszczona chatka, jeszcze bardziej ponura niż kiedykolwiek. Gleipnir ostrożnie zapukał do drzwi, lecz nikt nie odpowiedział. Po chwili zapukał drugi raz, a potem trzeci. W końcu odezwała się zaniepokojona Gelgia.

– To my, Gleipnir i Gelgia! Otwórz, mamy coś dla ciebie!

Słyszając znajomy głos, Fenrir ostrożnie uchylił drzwi i zmierzył swe kuzynostwo wzrokiem. Wyglądał na strasznie osowiałego. Po jego podkrążonych oczach widać było, że nie spał ostatniej nocy. Już któryś raz z kolei.

– Możemy wejść? – zapytał nieśmiało Gleipnir.

Fenrir bez słowa otworzył drzwi i wpuścił swych gości do środka. On sam usiadł na taborecie stojącym przy stole, po czym spuścił głowę i złożył przednie kopyta. Chwilę później zaczął płakać, a skoro i on, to i Gleipnir. Pewno jakaś niewytłumaczalna więź, współzależność. Młody jednorożec nie mógł być niczego pewien, w końcu nie miał dostępu do ksiąg, które pomogłyby mu zgłębić to zjawisko. Złotogrzywa zdołała jakoś się powstrzymać. Podeszła do kuzyna i kładąc mu kopyto na ramieniu, próbowała go pocieszyć.

– Fenrir... Nie mam pojęcia, jak się czujesz, bo nigdy nie doświadczyłam tego, co ty, ale... Spróbuj się jakoś pozbierać. Proszę. Chcesz, żeby Walter zastał wrak własnego syna, gdy wróci? – mówiła złotogrzywa.

– On już nie wróci... – odpowiedział cicho Fenrir. – Tak jak mama. Oni nigdy nie wrócą.

– Hej, tego nie możemy być pewni. Wiem, że z każdym kolejnym dniem sytuacja wygląda coraz gorzej... I że coraz bardziej wątpisz w jego powrót... Ale nie możesz dopuścić do siebie myśli, że on...

– Nie żyje? – pegaz wyprzedził słowa swej kuzynki. – Nie, nie dopuszczam. Ale dlaczego go nie ma? Obudziłem się i jego już nie było... Dlaczego? – zastanawiał się zupełnie rozbity Fenrir. – Czekalem na niego, ale on nie wracał... Gdzie on teraz jest? Chcę, żeby wrócił...

Pegaz rozkleił się na dobre. Chcąc uspokoić kuzyna, Gelgia przytuliła go najmocniej, jak tylko potrafiła. Starła się podnieść go na duchu, lecz wszystko, co mówiła wlatywało mu jednym uchem, a wylatywało drugim. Klacz nie potrafiła zrozumieć, dlaczego los był dla Fenrira tak okrutny. On nikomu nie zawinił i we wszystko, co robił, wkładał całe serce.

Powinna go była spotkać nagroda, a nie kara. Na dodatek, jakkolwiek pomoc utrudniał Albert, dla którego Fenrir nie był członkiem rodziny, ale szkodnikiem, którego należało się pozbyć. Najlepiej przez pozostawienie na niełaskę losu i bierne czekanie, aż zejdzie z głodu.

– W pakunku masz trochę jedzenia i kilka ciuchów.
– Dzięki... – szepnął drżącym głosem Fenrir. – Do jutra mi starczy?
– Powinno. Dlaczego pytasz? – zdziwiła się klaczka.
– Nie wiem... Nikt mnie nie chce, wszyscy mnie zbywają... Nie mam co jeść... I nie mam pieniędzy.

Gelgia wiedziała, że widok osłabionego i wychudzonego kuzyna będzie ją nawiedzał jeszcze przez długi czas... Chyba, że zdarzy się jakiś cud. Gleipnir z kolei zastanawiał się, co mogło być przyczyną tak nagłego pogorszenia się sytuacji. Czyżby naprawdę nikogo nie było stać na to, aby dać chociaż jedną monetę za dobrze wykonaną pracę? Nikt nie miał nawet kromki chleba albo szklanki wody? Dlaczego nikt nie chciał dać Fenrirowi szansy? Widząc jego nieszczęście, jednorożec nie chciał już dłużej godzić się na otaczającą go na każdym kroku niesprawiedliwość. Jednocześnie nie chciał znaleźć się w tej samej sytuacji, co Fenrir. To właśnie tym na każdym kroku straszył go ojciec.

Pegaz uspokoił się dopiero późnym wieczorem. Gelgia położyła go spać, po czym wraz z bratem udała się w drogę powrotną do domu. Nie obchodziło jej to, że Albert o wszystkim się dowie i że wymyśli jakąś karę. Już się go nie bała. Obchodziło ją tylko to, jak pomóc kuzynowi. Starła się zarazić swoją postawą wciąż niepewnego brata, lecz ten nie zdążył jeszcze w pełni uodpornić się na dzikie napady gniewu Alberta. Miewał wątpliwości.

– Nie mam pojęcia, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Ojciec w życiu się nie zgodzi przyjąć Fenrira pod swój dach – powiedziała klacz.
– Dlaczego? Przecież on nic mu nie zrobił.
– Dlaczego? – Złotogrzywa zamilkła na chwilę. – Bo to kretyn – dokończyła, po czym przyspieszyła krok.
– Um... A może jednak warto spróbować?
– Jeszcze nie teraz, braciszku. Jeszcze nie teraz...

Ależ Gleipnir nie przepadał za takimi "tajemniczymi momentami", które miewała jego siostra.

* * *

Powoli zbliżała się godzina dwudziesta trzecia. Henrietta wciąż była pogrążona w lekturze i wspomnieniach. Dopijała już czwartą czarną kawę. Ulewa powoli zaczynała

ustępować, jednakże to ani trochę jej nie pocieszało. Albert natomiast był całkiem spokojny, lecz były to tylko pozory. W rzeczywistości czuł się winny. Co kilkanaście minut zaglądał do butelczyny, mając nadzieję, że w końcu poczuje się lepiej. Niestety, choć świat wyglądał na bardziej kolorowy, a Henrietta wydawała się o kilka lat młodsza, to jednak żaden alkohol nie był w stanie zabić tego dziwnego uczucia. To było jak kawał ohydneho, stęchłego żarcia, który ciążył na dnie żołądka i nie mógł zostać przetrawiony.

Chwiejąc się na własnych kończynach, ogier odszedł od stołu. Chrzękając i czkając, powoli udał się do salonu. Henrietta, widząc w progu pomieszczenia podpitego męża, lekceważąco pokręciła głową, po czym wróciła do lektury.

– No i co? I co? – Albert oparł się o futrynę drzwi. – Tak on się nam odwdzięczył. Było go wtedy zostawić na ulicy... Idiota... Cholerna wesz...

– Przymknij jadaczkę – parsknęła klacz. – Dobrze wiesz, że mam rację i że to wszystko przez ciebie. Zobaczysz, jeszcze chwila i twoje własne dzieci przed tobą uciekną.

– Ty się od Gelgii i Gleipnira odwal, ja wiem co jest dla nich najlepsze, słyszysz?!

– Wiesz co? To jest niesamowite – Henrietta uśmiechnęła się szyderczo. – Tak jedziesz po tych pijakach i biedocie, a sam masz całkiem nienajgorszą odporność na różne trunki. Może niedługo zmienisz stronę?

– Nieee, ja mogę sobie pić! – upierał się ogier, wykonując krok do przodu. – Zaraz ci, do cholery, dam! Zobaczysz, ty głupia...

– Ty to lepiej się już połóż, bo zaraz zobaczymy, co dzisiaj jadłeś – zasugerowała przyzwyczajona do wyzwisk Henrietta.

– Taa, położę się. Ale ty masz nie przychodzić, obraziłaś mnie, ty tego nie rozumiesz... – wybełkotał Albert, tuż zanim udał się w stronę sypialni.

Ucieszona faktem, że w salonie znów zapanowała cisza, klacz wróciła do książki. Dokończyła rozdział i dopiła kawę, po czym wstawiła wodę na kolejną filiżankę. Tej nocy nie zamierzała spać. Chciała być przygotowana na wypadek, gdyby Fenrir jednak wrócił. Zdawała sobie sprawę, że było to mało realne, ale starała się być dobrej myśli. Bardzo jej to pomagało. W oczekiwaniu na gwizd czajnika, Henrietta zajrzała do Alberta. Zgodnie z jej przewidywaniami, ogier zasnął w rekordowym czasie. Nie chowając urazy, klacz poprawiła mu poduszkę i przykryła kocem, po czym wyłączyła budzik. Postanowiła, że nazajutrz sama zajmie się wszystkimi obowiązkami, pozwalając mu nieco ochłonąć. Poza tym, nietrudno było zgadnąć, że po przebudzeniu ogier i tak nie będzie w odpowiedniej do pracy formie.

Co by nie mówić, mimo wszystkich jego przywar, Henrietta kochała Alberta i zawsze starała się go zrozumieć. Jasne, były momenty, w których była zmuszona mu nagadać, a sposób, w jaki traktował Gelgię i Gleipnira, wybitnie jej nie odpowiadał. Miała jednak na uwadze to, że przyszło im żyć w naprawdę okrutnym miejscu. Albert doskonale wiedział, że wszystko, czego się dorobił, mógł stracić przez nawet najmniejszy błąd i to z dnia na dzień.

Powodowany stresem, na każdym kroku się pilnował, a chcąc zachować twarz wśród zwykłych mieszkańców Neighfordu, dusił w sobie nerwy i wątpliwości. Ale tego wewnętrznego gniewu nie można było chować w nieskończoność. W końcu Albert musiał wybuchnąć i to nie raz czy dwa razy. To było zadanie Henrietty, by w tym wszystkim przypilnować go, by nie przekroczył pewnych granic, a we właściwych chwilach wspierać go.

– *Zbyt pobłażliwą idiotką dla niego jestem...* – pomyślała sobie po raz wtóry, kręcąc przy tym głową.

Klacz w duchu wierzyła, że w końcu uda jej się zmienić męża na lepsze. Krok w tę stronę został poczyniony ledwie parę lat temu, kiedy to Gelgia i Gleipnir, wspólnie z nią, postanowili przełamać swego rodzaju barierę.

* * *

Był wieczór. Dręczony zbyt wysokim ciśnieniem atmosferycznym, Albert Crusto przez jakiś czas siedział w spiżarni, aż w końcu skierował swe kroki ku domowemu skarbczykowi. Jeszcze raz sprawdził księgi rachunkowe i podpisane z equestriańskimi kupcami umowy. Zaraz po tym zabrał się za wprowadzenie do swego osobistego notatnika kilku poprawek. Przerywaną skrobaniem pióra o papier ciszę zakłóciły nowe dźwięki. Ich źródłem były skrzypiące drzwi wejściowe i trzeszczące pod ciężarem kopyt deski. Do uszu ogiera dotarły znajome głosy – Henrietty, Gelgii i Gleipnira. Nasłuchując kroków, odniósł wrażenie, że próg domu przekroczył jakiś czwarty kucyk.

– Cześć, tato – odezwał się nieśmiało Gleipnir, zaglądając do salonu.

– No cześć. Zdejmij buty, bo ślady robisz. Ktoś jest z wami? – zapytał podejrzliwie Albert.

– Um... Tato... Nie denerwuj się... Proszę... – wydukał jednorożec.

Słyszając te słowa, Albert już wiedział, że jego rodzina właśnie wprowadzała w życie uknuty za jego grzbietem plan. Bardzo nie lubił takich sytuacji. Zaglądając do przedpokoju, ujrzał wieszającą swój płaszczyk Gelgię, Henriettę, która za pomocą magii odesłała torbę i buty w róg pomieszczenia, a tuż za nią skrywającego się pod jej płaszczem Fenrira. Brudnego, wygłodzonego i przestraszonego pegaza do środka zapraszała wraz z mamą złotogrzywa klaczka. Gdzieś między nimi a Albertem stał sobie Gleipnir, nie wiedząc za bardzo jak się zachować.

– Henrietta, coś tu za tobą weszło – rzucił ogier. – Weź to wyrzucić, bo paskudzi podłogę.

Klacz nic nie odpowiedziała. Widząc, że Fenrir cofnął się w stronę wyjścia, natychmiast wyciągnęła w jego stronę kopyto, po czym przygarnęła malca do siebie. Ten kurczowo przylgnął do swojej cioci, unikając kontaktu wzrokowego z wujkiem.

– Tato, musieliśmy zabrać ze sobą Fenrira – odezwała się Gelgia. – W chacie wujka już nie da się mieszkać.

– Zabroniłem ci go nazywać „wujkiem”, zapomniałaś?! – warknął ogier. – Ten wyraz też zaczyna się na „w”, tak jak jego imię. To twój kolejny pomysł? – Albert zwrócił się do swej żony. – Myślałem, że wyraziłem się dostatecznie jasno, co o tym myślę.

– Nie gderaj – rzuciła w stronę męża Henrietta, po czym spojrzała na wystraszonego pegaza. – Najpierw się wykąpiesz, a potem napelnimy twój brzuszeczek, dobrze?

Fenrir spojrzał na swoją ciocię, po czym nieśmiało kiwnął głową. Przy niej i przy Gelgii czuł się względnie bezpiecznie, jednakże obawiał się tego, co się może stać, jak tylko ośmieli się wkroczyć do łazienki.

– Nie denerwujcie mnie, zabierajcie mi stąd to ścierwo, ale już! – zdenerwował się Albert, wskazując na swojego bratanka.

– Sam jesteś ścierwo. Ogoliłbyś się – przyganiła Henrietta.

– Wynoś się z mojego domu, gówniarzu! – krzyknął ogier, strasząc Fenrira, który wciąż chował się za ciocią. – A ty co się lampisz jak sroka w gnat?! Won do pokoju, jak nie robisz nic pożytecznego! – rzucił gniewnie, odsyłając Gleipnira do pokoju na piętrze.

Nie minęło wiele czasu i jednorożec czmychnął na górę, nawet się nie oglądając. Po odprowadzeniu go wzrokiem, siwiejący ogier zwrócił się do córki.

– Ty też! Jazda mi stąd!

– Tato, tam się już nie da mieszkać, słowo – zapewniała złotogrzywa. – Musiałyśmy zabrać stamtąd Fenrira, on by tam z głodu umarł.

– Aha! Widzę, że nareszcie schowałem klucz do spiżarni tak, że wy smarkacze nie potraficie go znaleźć – mruknął ogier, po czym wykonał prosty gest nakazujący Gelgii udanie się do swojego pokoju. Ta jednak nie posłuchała go.

– Zawrzyj się i zrób przejście, musimy się dostać do łazienki – powiedziała stanowczo Henrietta, nie puszczając Fenrira.

– Zabieraj mi te śmieci z domu, wystarczająco dużo mamy już na głowie!

– Śmieci to ja wyniosłam już rano – parsknęła klacz, pewnym krokiem ruszając przed siebie, cały czas osłaniając pegaza. – Zaraz porozmawiamy i lepiej dla ciebie, żebyś zszedł z tonu.

Zaskoczony stanowczością żony, Albert bezradnie patrzył, jak ta zaprasza do domu jego bratanka i opiekuje się nim jak własnym synem. Posyłając w stronę ogierka przepełnione gniewem spojrzenie, herszt Neighfordu zastanawiał się, jak rozwiązać ten problem.

– Tato, zgódź się – odezwała się Gelgia. – Fenrir nie zajmie dużo miejsca. Nie będziesz miał przez niego kłopotów.

– Co, ty też?! Jeszcze tu jesteś?!

– Mieszkam tu. Tato, proszę, przyjmij Fenrira. Przecież on nic ci nie zrobił – mówiła dalej klaczka. – To nie jest jego wina, że ma skrzydła. Proszę, bądź dobry.

– Zmiataj do pokoju. Z twoją matką sobie jeszcze porozmawiam. A ten bękart długo tu nie zagrzeje miejsca!

– Zagrzeje – rzuciła z pewnością siebie Gelgia, po czym udała się na górę.

Ogier tylko syknął ze złości, tuż zanim zaczął przechadzać się po salonie. Jakkolwiek nie znosił Fenrira, poczuł wewnątrz siebie coś dziwnego. Zupełnie, jakby ktoś odebrał mu część jego charyzmy. Jego presja zdawała się działać już tylko na Gleipnira. Albert postanowił, że na razie ustąpi. Pomyślał, że jeśli Fenrir sprowadzi na niego kłopoty, to zawsze zdąży go wyrzucić na zbity pysk. Z hukiem i przytupem.

Tymczasem, Henrietta zdążyła należycie zaopiekować się Fenrirem. Była przerażona stanem, w jakim znajdował się młody pegaz. Na szczęście, jako doświadczona matka, wiedziała jak temu zaradzić. Była pewna, że dzięki odrobinie rodzinnego ciepła oraz miłości, Fenrir przestanie się bać i czuć jak podrzutek. Chciała ochronić go przed Albertem, dopóki ten nie przyjmie wreszcie do wiadomości, że mały Fenrir w żaden sposób nie zaszkodzi ani jemu, ani dobru jego interesów.

– Jeszcze raz przepraszam, że tak późno cię zgarnęłam – odezwała się Henrietta. – Będziesz miał swój pokój na górze, wiesz? Będziesz mieszkał razem z Gelgią i Gleipniem. Cieszysz się?

– Tak, cieszę... – mruknął wciąż wyraźnie przestraszony pegaz. – Ciociu?

– Tak, słucham?

– Ja... Naprawdę mogę tu zostać?

– Tak, oczywiście. Nie bój się. – Henrietta czule pogłaskała malca po głowie. – Możesz tu zostać już na zawsze. Będziesz miał co jeść i gdzie spać, obiecuję ci.

– Ale wujek...

– Nie przejmuj się nim, przyzwyczai się. Prędzej czy później, ale zaakceptuje cię. Jestem tego pewna.

– Mhm... – Pegaz skinął głową. – Ciociu?

– Słucham? O co chodzi? – Czekoladowa klacz po raz kolejny nadstawiła uszu, czekając na następne, dla Fenrira zapewne bardzo trudne do wykrztuszenia pytanie.

- Mogę... Mogę do ciebie mówić „mamo”?
- Ależ oczywiście! – odpowiedziała Henrietta, powstrzymując łzy szczęścia. – Dla Gelgii i Gleipnira już jesteś jak brat... A dla mnie jak syn. Mam nadzieję, że nie zawiodę Waltera i Iris.
- Na pewno nie, mamo.

* * *

Zbliżała się północ. Chmury w końcu zaczynały się rozplýwać, odsłaniając rozgwieżdżone niebo i górujący nad całą krainą księżyc. Henriettę powoli dopadało zmęczenie, ale nie na tyle, by nakłonić ją do zmrużenia oka. Klacz nadal siedziała przy oknie, pogrążona w lekturze. Raz po raz słyszała charakterystyczne trzeszczenie i ciche odgłosy kroków, dochodzące z góry. Nietrudno było zgadnąć, że nie tylko ją czekała bezsenna noc. Cóż, jaka matka, taka córka.

Czas płynął nieubłaganie. Robiło się coraz później, a pegaz nie wracał. Henrietta w końcu dała za wygraną i odpędziła od siebie nadzieję, że na przekór wszystkiemu nastąpi zwrot akcji i do drzwi zapuka Fenrir, niekoniecznie z podkulonym ogonem. Niechętnie dopuściła do siebie myśl, że teraz, jak ona tutaj popija sobie kawę i czyta, jej podopieczny jest już wiele kilometrów poza Neighfordem. Kto wie, może już przekroczył granicę? A może trafił w zupełnie inne, nieznane miejsce? Henrietta próbowała znaleźć jakiś trop, po raz kolejny analizując liścik, który zostawił pegaz.

Chciałbym podziękować za fszystko co dla mnie zrobiłaś mamo. Bardzo was fszystkich kocham ale ja tu chyba nie pasuje. Nie chce jusz denerwować wujka. Gleipnir i Gelgia majom przez to kłopoty. Postanowiłem że wyjade stond i zostanie podrusznikiem. Nigdy o was nie zapomne i może kiedyś do was wruce. Nie gniewajcie sie na mnie. Bende na siebie uważał. Postaram sie pisać do was.

~ Fenrir

Klacz uśmiechnęła się z politowaniem, widząc, jak wiele błędów w tym jakże prostym tekście popełnił ogierek. Nie dało się ukryć, że ortografia nie była jego mocną stroną. Po chwili namysłu, Henrietta zmieniła zdanie. Postanowiła jednak się położyć i spróbować zdrzemnąć przed kolejnym dniem pracy. Z liścika pozostawionego przez Fenrira uczyniła zakładkę do książki, tuż zanim udała się na spoczynek.

Nawet przy zgaszonych światłach, leżąc na miękkim pościu, klacz nadal myślała o niebieskim pegazie. Wpatrując się w sufit, w pewnym momencie zauważyła, że ustały kroki dochodzące z pokoju na piętrze. Widać Gelgia również postanowiła się ze swymi

zmartwieniami przespać. Musiało minąć jeszcze trochę czasu, zanim do Henrietty raczył przyjść sen.

– Gdziekolwiek jesteś, uważaj na siebie.

Na końcu jedynym członkiem rodziny, który ani myślał wykorzystać porę nocną do zregenerowania sił, okazał się być dwunastoletni Fenrir. Do karawany jadącej w kierunku Equestrii dostał się jako gapowicz. Po przekroczeniu posterunku granicznego jego obecność wyszła na jaw, ale jeden z podróżujących pojazdem najemników postanowił robić za prawnego opiekuna i przypilnować ogierka. Dla pegaza była to szansa. Choć zdążył się już stęsknić za rodzinnymi stronami, jakkolwiek źle by mu się nie kojarzyły, to jednak starał się wytrzymać i skoncentrować na swojej przyszłości. Obserwując widok za oknem, Fenrir miał nadzieję, że nie zostanie odesłany do domu i najemnik, który się za nim wstawił, da się jednak przekonać i nauczy go, czego trzeba.

Przeżycie w Neighfordzie, znoszenie wielu niewygód i przeciwności losu już samo w sobie stanowiło niełatwy trening. Życie w Equestrii czy też nadstawianie karku jako najemnik nie mogło być aż tak trudne, prawda?

Fenrir jeszcze nie wiedział w co się pakuje i jak bardzo zmieni się jego życie. Czuwał aż do porannego brzasku, kiedy to jego oczom ukazała się panorama południowej Equestrii. Z tego, co usłyszał od podróżujących karawaną najemników, zmierzali ku Dodge City. Zapamiętując tę nazwę, ogierek postanowił zmrużyć oczy, chociaż na krótką chwilę. Kołysanką był mu stukot kół pojazdu i towarzyszący im szum południowych wichrów.

Po południu najemnicy zostali zmuszeni do zmiany pojazdu, ale zdołali zajechać do Appleloosy. Wówczas niewyspany Fenrir po raz pierwszy w swoim życiu postawił kopyta na obcej ziemi. Na pierwszy rzut oka, otoczenie wyglądało o wiele bardziej zachęcająco, zaś kucyki były tu serdeczne i przyjazne. Jedna tylko rzecz zdawała się być taka sama jak w Neighfordzie.

O szyby skromnych domostw, nieubłagane dzwonił sącący się z chmur deszcz.